Nr. 51. Poznań, niedziela 20-go grudnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych niezwracamy.

TREŚĆ.

„Powaga prasy“
albo:
Kto jest pan Łebiński?

Gdyby u nas istniała opinia publiczna i gdyby ta opinia miała moc strącania w pył Falstaffów, pozujących na Katonów, i zer moralnych, wydętych w cyfry poważne, to runąć by dzisiaj musiał albo „Dziennik Poznański“ albo jego redaktor, p. dr. Łebiński.

Wiadomo wszystkim, że między dawniejszą redakcyą pisma tego a nami istniały tak poważne różnice ideowej natury, że bezustannie niemal wrzała walka zacięta, i wiadomo wszystkim, że sąd nasz o śp. Fr. Dobrowolskim jako publicyście, polityku i człowieku posiadał wiele akcentów ujemnych, rozsianych na stronnicach „Przeglądu“, — to jednak dzisiaj raz jeszcze stwierdzić musimy, że były redaktor „Dziennika Poznańskiego“ granic uczciwości dziennikarskiej nie naruszył nigdy i umiał pismo powierzone pieczy swojej ustrzedz przed charakterem dziennikarskiego bandytyzmu. Gdy po krótkiem interregnum pana Józefa Głębockiego objął rządy „Dziennika“ p. dr. Władysław Łebiński, owładnęły szerokie koła poważnie myślących obywateli przykre przeczucia. Lękano się, że spuścizna po ś. p. Franciszku pójdzie w niewolniczą służbę do Rzymu i fanatycznego lojalizmu, — lękano się jednak przedewszystkiem, że p. dr. Władysław Łebiński, dzięki swym moralnym kwalifikacyom, strąci „Dziennik Poznański“ z wyżyn przyzwoitości i etyki w proch rewolwerowej żurnalistyki. Przeczucia okazały się słuszne.

Po dłuższem milczeniu uważał „Dziennik Poznański“ za właściwe rozprawić się w artykule zatytułowanym „Powaga prasy“ z przeciwnikami swoimi, którzy — przyzna nam to nawet wróg najzaciętszy — występowali dotychczas jedynie przeciw programowym twierdzeniom i postulatom nowego „Dziennika“ pod kierunkiem p. Kościelskiego, a redakcyą p. Łebińskiego, nie naruszając nigdzie spraw osobistych, nie kując nigdzie brudnego oszczerstwa i niezamieniając nigdzie szabli uczciwej na nóż lub pałkę. Pan Łebiński szabli uczciwej w arsenale swoim nie znalazł i oto stał się fakt niesłychany w dziejach „Dziennika Poznańskiego,“ fakt licujący wprawdzie zupełnie z opinią, którą obecny redaktor tego pisma, a dawniejszy współpracownik „Kuryera“ posiada w szerokich kołach społeczeństwa, lecz zniesławiający dobre imie „najpoważniejszego“ organu Księstwa.

Nie będziemy się tu dłużej rozwodzić nad tym tonem śmiesznego dorobkiewicza, w którym „Dziennik Poznański“ zaczyna swój paszkwil, wywodząc, że w polemikę wdawać się nie myśli, bo musiałby „uznać przeciwników swoich za stronę wojującą, a to byłoby dla nich za wielkim zaszczytem“. O! takie zdanie wyczerpującej krytyki nie wymaga, bo wystarcza tu jedno pytanie: Kto zasługuje na większy szacunek, — czy ci, którzy nie szczędząc ofiar pieniężnych i nadstawiając głowy swoje pod grad kamieni, walczą zawsze jasno i otwarcie w imię idei swoich i drogę nowym prądom torują, czy też owi polityczni rzezańcy, którzy w najpoważniejszych kwestych narodowych kryją jak krety myśli swe pod ziemię i tchórzliwie gną się i łamią, — czy my, którzy podajemy społeczeństwu poglądy i przekonania w pełnych blaskach słońca, czy „Dziennik Poznański“, który w ostatnich latach dziesięciu mrokiem się otaczał, nigdy nie wiedząc, co powiedzieć krajowi, gdy bądź to żałoba narodowa, bądź polityka ugody, bądź stosunek Kościoła do narodu, bądź w najświeższych czasach kwestya interpelacyi sejmowej do bram poznańskich pukała.

Ten ton tuzinkowej fanfaronady maskuje tylko wewnętrzną nicość i poczucie własnej słabości. Znamy go dawno i słów nad jego wartością tracić nie myślimy. Ale pan Łebiński do starej fanfaronady przyłączył nową nikczemność i ona to staje się przyczyną, że osobą tego pana zajmować musimy czytelników naszych. Nóż i pałka nowej redakcyi „Dziennika Poznańskiego“ rozpoczęły rzemiosło swoje, bo oto pojawiło się w Nr. 286 „Dziennika Poznańskiego“ twierdzenie, że w polskiem dziennikarstwie przeciwnego obozu znajdują się ludzie „podejrzani o bliższe stosunki z polityczną policyą i podsycający to podejrzenie częstemi denuncyacyami osób i zbiorowisk całych“. I nie dość na tem. Po pierwszej następuje druga kalumnia, następuje jakieś niejasne, mgliste, a trujące jak strychnina oszczerstwo, że walczyć nie można z ludźmi, „którzy podobno mają wielce niewyrównane konta u instytucyi wdowiego grosza“. Nie powiedziano tu niczego wyraźnie, ale właśnie dlatego rzucono ziarno najpotworniejszych podejrzeń, stworzono atmosferę właściwą dla ludzkiej złości i nienawiści, wypowiedziano pierwsze słowo oskarżenia o jakiś tajemniczy szantaż i oszustwo. Zamiast walczyć rzeczowo z ideowemi postulatami przeciwników, mianuje się ich zgrają szpiegów pruskich i oszustów, zgrają zdrajców ojczyzny i rycerzy przemysłu, a kalumnie te fabrykuje się z zręcznością wytrawnych rzezimieszków tak, że uciśnieni nie mogą odwołać się do opieki prawa, — tak, że bandyta dziennikarski zasłania się jak tarczą formą dwuznacznych ogólników, które dla społeczeństwa i opinii mają tylko jedno znaczenie.

Oto metoda walki wprowadzona przez nowego redaktora do „Dziennika Poznańskiego“, metoda którą społeczeństwo mniej apatyczne od naszego postawiłoby pod pręgierz publiczny, metoda, która spycha „najpoważniejszy organ Księstwa“ w błoto dziennikarskiego rozboju i grozi zatruciem stosunków. Podnosimy głos nie w obronie obozu naszego i pokrewnych stronnictw, bo są oszczerstwa, na które odpowiada się tylko tak bezgraniczną pogardą, że ona, zamiast słów, ślinę ciśnie na usta, lecz w obronie społeczeństwa, któremu kapłani jego szczepić zaczynają gangrenę moralną, — podnosimy głos dla zbudzenia opinii publicznej i w tym celu prezentujemy tutaj w szkicowych rysach sylwetkę człowieka, którego rafinowane manipulacye kliki politycznej postawiły na czele „Dziennika Poznańskiego“. Przykra to robota i przykre zadanie, lecz po tem, co się już stało, i co się dziać będzie niewątpliwie w dalszym jeszcze ciągu, jesteśmy zniewoleni pokazać pana Łebińskiego takim, jakim jest, i rozstrzygnąć pytanie, jakie są moralne kwalifikacye człowieka, zajmującego takie stanowisko, do którego, zdawać by się mogło, uprawnia tylko głęboki umysł, nieskazitelna szczerość przekonań i wysoki poziom etyczny.

Przed mniej więcej 25 laty zjawił się pan dr. Wład. Łebiński na bruku poznańskim i wkrótce wystąpił na arenie publicznej jako fanatyczny szermierz najskrajniejszych dążeń radykalizmu. W czasie walki kulturnej, gdy nawet ta część społeczeństwa, która nie solidaryzowała się z przewagą Kościoła na ziemi naszej, stanęła w jego obronie z czysto narodowych względów i przez humanitarną sympatyą dla uciśnionych, wydawał p. Łebiński osławione pisemko „Wiarus“, popierające walkę rządu z Kościołem. Dla

scharakteryzowania programu, któremu służył wówczas obecny szampion ultramontanizmu, zalecający społeczeństwu, by „na wszystkie interesa narodowe patrzało wyłącznie przez pryzmat katolicyzmu“ cytujemy tu z rocznika III Nr. 73 ustęp następujący, ustęp z pożegnalnego artykułu umierającego czasopisma:

„Nasi politycy kościelni w tej walce interes nasz zespolili z mniemanym interesem rzymskim, a my ściągnęliśmy na siebie wszystkie gromy ultramontanizmu, twierdząc, że dla nas zupełnie w równej mierze nieprzyjaznym jest interes rzymski jak niemiecki rządowy. Nieprzyjacielem tym, rakiem zjadliwym jest ów zapamiętały ultramontanizm, który i tak już dochodzi kresów niedołęztwa i praktyki zatracena“.

Tak pisał późniejszy współpracownik „Kuryera Poznańskiego“, a jak daleko sięgały sympatye p. Łebińskiego do Kościoła i jego przedstawicieli, najlepszy stanowi dowód fakt, że ohydny paszkwil na duchowieństwo p. t. „Kuczma i Kossak, dwaj konfratrowie“ wydany został z jego inicyatywy i za jego pieniądze.

Z czasem jednak zrozumiał p. Łebiński, że radykalny liberalizm nie popłaca w naszem społeczeństwie i zamiast zysków tylko straty materyalne przynosi, więc z cechującą go elastycznością wykonał zdumiewające salto mortale i z przywódzcy obozu wolnomyślnego stał się rycerzem ultramontanizmu w najjaskrawszem tego słowa znaczeniu. Ile razy „Kuryer“ zamieścił w kierunku ultramontańskim lub lojalnym jaką ekscentryczność niezwykłą, czuć było pazur p. Łebińskiego, a nie myli się społeczeństwo w przekonaniu, które obecnego redaktora „Dziennika“ mianuje autorem głośnego artykułu „Kuryera“ p. t. „W dzień urodzin cesarskich.“ Oto maleńka próbka lojalnego stylu:

„Obchodzimy dziś wraz z całem państwem urodziny cesarza Wilhelma II. Nie naszą rzeczą sądzić jego czyny, dzieła, zamiary, wolę i uczucia. Historya to sądzi. My jako czcimy w nim reprezentanta najwyższej władzy świeckiej, z woli Boga ustanowionej, tak zniewoleni jesteśmy z woli najlepszej, niczem nie zaćmionej, złożyć u stóp jego tronu najszczersze życzenia lojalnych poddanych, którzy bez fałszu i udawania wszelakiego, bo z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomazańca Bożego. Wszystko inne złudne jest na świecie, dla tego my wierzymy wyłącznie w Boże powołanie monarchy, twierdzimy zawsze i dziś, w dzień tak uroczysty, że bramy piekieł takiego powołania skrzywić i spaczyć na trwałe nie potrafią. Źli ludzie, ogołoceni z ciepła płomieni Bożej łaski, mogą nami do czasu poniewierać, mogą usilnie pragnąć, żeby wola monarchy stała się stronnicza, dokuczliwa dla słabych, mogą zachodzić okoliczności, w których tryumf złych ludzi zdawałby się być blizkim i niewątpliwym, a jednak tryumf ten rozbić się musi o Boże powołanie monarchy i owo poczucie sprawiedliwości, które właściwem być może tylko tym, co najwyższe jej wswym ręku dzierżą szale“.

Oprócz współpracownictwa w „Kuryerze“ zasilał p. dr. Władysław Łebiński „Kraj“ petersburski i „Czas“ krakowski artykułami z kuźni ultramontańsko-lojalnej, a prusofilstwo jego zawsze było jaskrawe, niezręczne, jednostronne i w zaprawie osobistych niechęci podane. Artykuły p. Łebińskiego w krakowskich i petersburskich czasopismach były nieraz przedmiotem energicznej polemiki w „Dzienniku Poznańskim“ i zjednały mu w tem samem piśmie, którego redakcya obecnie w jego znajduje się rękach, stały a mało zaszczytny przydomek „brzuchomówcy“. Oczywiście człowiek tego rodzaju, co pan Łebiński, umie w razie potrzeby pogodzić wszystkie kierunki i n. p. w Poznaniu zalecać „bezwzględną uległość“, cześć i szacunek dla Koła polskiego, a w Petersburgu dla zaspokojenia swych osobistych uprzedzeń lub draśniętych ambic i to samo Koło piętnować mianem pijaków, karciarzy i zbijobruków. Oto, co pisze obecny redaktor „Dziennika Poznańskiego“ o posłach naszych w Nr. 37 „Kraju“ z r. 1888:

„Cóż począć w Berlinie, kiedy długo czekać trzeba na jakiekolwiek emocye (?) pracy, jeżli już nie prace samą. Więc z szynku do szyneczku, obiadki, obiady, imieniny, whist, preferans i t. d. Potem się powie od czasu do czasu mówkę „w obronie zagrożonych praw“, która jeszcze większy ucisk sprowadza, — i honor narodowy uratowany, a ostatecznie i do takiego życia w Berlinie nawyknąć można“.

A dalej:

„Ambicyą naszych posłów było i jest pięknemi frazesami i matematycznemi argumentami zadowolić podniebienie ulicznych polityków i babskich wyznawców polityeznej dewocyi“.

Zwracamy z naciskiem uwagę, że słowa powyższe odnoszą się do tej samej instytucyi i niemal do tych samych ludzi, których p. Łebiński stawia dziś na ołtarzu, jako nietykalne świętości, i w obec których odmawia dziennikarstwu wszelkich praw krytyki. Warto też przypomnieć, że „Dziennik Poznański“, na którego czele stoi obecnie pan dr. Łebiński, tak osądził korespondenta do „Kraju“ w Nr. 268 z r. 1888:

„Mamy tu na myśli ową niefortunną korespondencyę p. Domarata z Poznania do wychodzącego w Petersburgu „Kraju“, w której wszystkich posłów naszych odsądza nieomal od czci i wiary, z którym to zarzutem, jako schodzącym poniżej wszelkiej krytyki, rozprawiać się nie będziemy i t. d.“

Tak to osądził „Dziennik Poznański“ swojego obecnego redaktora, a lubo p. Łebiński wypierał się swego czasu publicznie pseudonimu „Domarata“ i nawet groził procesami za takie posądzenie, to chyba teraz procesu lękać się nie potrzebujemy, skoro sam „Kraj“ petersburski ogłosił, że korespondent jego „Domarat“ został naczelnym redaktorem „Dziennika“.

Oprócz dziennikarskiej działalności brał p. dr. Łebiński w sprawach publicznych nader skromny udział, a głośnem stało się tylko jego współpracownictwo w niemiecko-polskiem stowarzyszeniu dla zwalczania socyalizmu, który n. b. w naszych dzielnicach żadnych warunków rozwoju nie posiada. Wspominamy ten epizod społecznej pracy p. Łebińskiego jedynie z tego powodu, ponieważ rzuca on ciekawe światło na umysłowość, inteligencyę i „głęboki“ krytycyzm nowego redaktora „Dziennika“ który nie zdołał nic innego wykombinować, jak zwalczanie idei przewrotu przy pomocy wystawiania na widok publiczny jarmarcznych obrazów o tendencyi antysocyalistycznej i wypiekanie taniego chleba z kukurydzy dla zapełnienia głodnych żołądków, z których się rodzi socyalizm. Wygląda to na żart niewczesny, a jednak jest faktem oczywistym, świadczącym, jak tacy panowie w rodzaju pana Łebińskiego rozstrzygają palące kwestye społeczne i jak głęboko pojmują ten prąd olbrzymi, który z żywiołową siłą rośnie i rośnie bez końca. Nie dziw, że niemiecko polskie stowarzyszenie, które takich członków i takich lekarzy chorób społecznych posiadało, po krótkim czasie istnienia usnęło snem błogosławionych.

Jednej wielkiej zalety p. Łebińskiemu odmówić nie można, a mianowicie umiejętności gromadzenia grosza na wszelkie sposoby. Widzimy go właścicielem drukarni, przy-

---

Kaźmierz Zdziechowski.

Zielone święta.

NOWELA.

Było to w sali klinicznej, wielkiej, urządzonej według ostatnich wymagań serca ludzkiego, dbałego o chorych bliźnich, zgodnie z ostatniemi ulepszeniami, które wynalazła myśl ludzka. Z sześciu olbrzymich okien lało się światło obficie i wypełniało ogromną przestrzeń dużego pokoju z wysokiemi sufitami. Łóżka stały pośrodku w wymierzonej od siebie odległości; podłoga lśniła, jak lód, ściany były białe i czyste, że nie dostrzedz na nich najmniejszego pyłku — wogóle salę tę przestronną zamieszkiwała światła i ciepła czystość; było to jednak, zresztą jak we wszystkich podobnych gmachach, nieswojsko i nawet smutno.

Sala szpitalna, czy kliniczna — to jakby człowiek, cały od stóp do głowy przykryty jednobarwną płachtą: z pod płachty nie widać twarzy, — niema oczu, a zatem wyrazu, duszy.

Jest pierwszy dzień Zielonych Świątek i maj. Nikt ścian nie umaił zielenią, wszyscy mają te same płaszcze żółte, a jednak znać od pierwszego wejrzenia, że to dziś święto. Twarze chorych mają jakiś inny niż zwykle wyraz: maluje się na nich oczekiwanie, trwożone obawą rozczarowania, i uroczysta powaga.

Nie; dzisiaj życie nie popłynie zwykłym torem: herbata, oczekiwanie doktora, albo profesora, obiad, wanny, zastrzykiwanie arszeniku, potem okna zawieszone firankami, elektryczność zapalona, długi pełny po kątach półmroku i bezczynności wieczór, a za nim noc, turbowana stękaniem, jękiem, chrapaniem... Nie! dziś musi się stać coś niezwykłego, niespodziewanego, a miłego.

Koło niektórych łóżek już siedzą goście! są to znajomi, albo krewni; rozmowa płynie, jak zazwyczaj w takich razach, półgłośna, nie bardzo wesoła, często urywana i znów nawiązywana; leżącemu z radości błyszczą oczy, w ożywieniu kręci się na posłaniu, jeśli może, siada, albo przynajmniej podnosi się i opiera na łokciu; ten zaś, co odwiedza, czuje się tu zaskoczony lękiem, jest nieśmiały, mówi z musu, wciąż szukając przedmiotu do gawędy, i od czasu do czasu spogląda na zegar ścienny, czy można już położyć kres wizycie.

Nr. 12 Andrzej Iwanowski leży, jak codzień, na plecach i oczy ma przymknięte. Kołdra zsunęła mu się do kolan i widać przez bieliznę, że ciało jest strasznie wyniszczone, ręce nieruchomo złożone wzdłuż ciała białe i aż przezroczyste z długiemi dawno nieobcinanemi paznogciami; pierś wąska i zapadła porusza się powoli w rzadkim i słabym oddechu; brzuch ogromny, jak duży garb biały i miękki, potwornie, chorobliwie wydęty; twarz jeszcze niestara, twarz człowieka między 3 a 4-tym dziesiątkiem lat wieku; policzki zapadłe, blade, usta białe. Na wysokiem czole wiele zmarszczek, zarost wątły ciemnawy, zwykły u ludzi słabowitych. Leży bez ruchu i z powiekami zamkniętemi, blady i wychudzony, ma pozór trupa. Pan Andrzej nie śpi i nawet myśli, wprawdzie bardzo wolno, z długiemi przestankami, z trudem, jak ludzie bardzo i długo chorzy, zawsze jednak myśli.

Jak on już dawno nie myślał! Tydzień, dwa tygodnie? gdzie tam! pewno już pół roku. Rozumie się zawsze i nawet dziś rano myślał, ale nie tak, jak kiedyś, bardzo dawno temu i jak teraz, — bo wciąż krążył około jednego:

Przed pierwszą operacyą był niespokojny, czy aby ona się uda; gdy minęła pomyślnie, pytał sam siebie, czy się odnowi guz w żołądku, a obecnie, kiedy znowu jest, czeka drugiej operacyi. To były wielkie przedmioty, leżące mu na mózgu, jakby generałowie wśród powszedniej rzeszy codziennych jego myśli; te zaś były następujące: co będzie na obiad? czy dadzą już mięso?

dającym za drogie pieniądze swój towar redakcyi Dziennika Poznańskiego, która później warsztat ten nabyła na własność. Dalej piastował p. Łebiński aż do ostatniej chwili urząd buchaltera w Towarzystwie zabezpieczeń „Westa“, bawił się w spekulacye naftowe i pisywał czy też jeszcze pisuje za wysoką cenę artykuły programowe do tygodnika „Praca“, stanowiącego taki zbiór najrozmaitszych dziwolągów literackich i ekonomiczno-politycznych, jakiego dotąd oko ludzkie nawet na poznańskim bruku nie widziało. Nie dziw więc, że przy takich spekulacyach finansowych, świadczących dodatnio o kupieckim talencie p. Łebińskiego, majątek tego pana mnożył się i rozrastał, — żal tylko, że tam, gdzie sprawa publiczna wołała o ratunek i pomoc, majątek ten krył się dyskretnie w szafach żelaznych a właściciel jego stawał przy drzwiach zamkniętych i deklamował, że bez ofiar zginąć musi ojczyzna.

Zdawać by się mogło, że człowiek z taką przeszłością i takiemi kwalifikacyami nawet na poznańskim gruncie nie odegra wybitniejszej roli, a już co najmniej nie obejmie zaszczytnej spuścizny po śp. Franciszku Dobrowolskim i niemal królującego w społeczeństwie stanowiska. Stało się jednak inaczej. Klika teroryzująca cały zabór pruski i dzierżąca w swym ręku losy „Dziennika Poznańskiego“ potrzebowała człowieka tej kategoryi dla obrony swych dwuznacznych interesów politycznych. I zdarzył się fakt na oko nieprawdopodobny, że najzawziętszy wróg „Dziennika Poznańskiego“, szkodzący pismu temu od lat już wielu z przedziwną konsekwencyą, objął panowanie nad przedmiotem nienawiści swojej. I zdarzył się fakt, że osobistemu, do ostatecznych granic wstrętu posuniętemu wrogowi śp. Dobrowolskiego, powierzono dziedzictwo zmarłego redaktora, a nominacyę zatwierdzili ci sami ludzie, którzy przed kilku zaledwie miesiącami wynieśli śp. Franciszka Dobrowolskiego do wyżyn narodowego bohatera, święcąc jego zasługi wspaniałą owacyą jubileuszową i żegnając zwłoki jego w asyście kilkutysięcznych tłumów tak, jak się żegna zagasłe gwiazdy niezwykłej wielkości i blasku, jak się żegna trumny wielkich męczenników, geniuszów lub dobroczyńców narodu.

Pan Łebiński został tedy redaktorem „Dziennika Poznańskiego“ i zaprezentował nam kilkadziesiąt numerów z piętnem rosnącego z dnia na dzień niedołęstwa i niedbalstwa. Sarkano na ospałość, żółwie ruchy i bezbarwność starego „Dziennika“, — dziś z jednego krańca Księstwa na drugi leci żal za starym „Dziennikiem“. Pod względem układu pozostał „najpoważniejszy organ Księstwa dawnym inwalidą, pod względem treści skurczył się i zmalał, pod względem szybkości informacyjnej zstąpił do poziomu małych prowincyonalnych pisemek, pod względem jasności myśli politycznej jeszcze w gęstszą mgłę się otulił i przemawia niecomal w takich hieroglifach, w jakich niegdyś p. Łebiński ułożył n i e d o s z ł y a d r e s d o c e s a r z a W i l h e l m a II, którego styl schlebiać miał germańsko-mitologicznym upodobaniom młodego monarchy i był w swoim rodzaju wręcz bezprzykładnym dziwolągiem. Na szczęście przeszkodzono wysłaniu kompromitującego naszą inteligencyę dokumentu.

Za to wprowadził pan dr. Łebiński jedną nowość do organu swego, wprowadził, zamiast rzeczowej polemiki, metodę opryszków dziennikarskich, wprowadził piętnowanie wrogów swoich kłamliwem mianem szpiegów pruskich i oszustów. Zaiste panie Łebiński! Gdyby ten potworny zarzut tajnych stosunków prasy polskiej z „polityczną policyą“ miał chociaż cień prawdopodobieństwa, to przeszłość twoja cień ten zwróciłaby przedewszystkiem ku tobie. A jeżeli mówisz o wyzyskiwaniu „instytucyi wdowiego grosza“ przez przeciwników swoich, to zapytujemy się, jakiem mianem nazwiesz, stutysięczny panie, korzystanie z wpływów „Dziennika“ do uzyskania bezpłatnej loży w teatrze dla siebie i rodziny swojej, oprócz zwykłego biletu dla recenzenta. Takie rzeczy dzieją się po wielkich miastach, gdzie teatry obracają milionami, lecz nasza biedna świątynia sztuki jest prawdziwą „instytucyą wdowiego grosza“, jest nędzarką, która z każdą marką liczyć się musi, bo nie zarabia nawet tyle, by chleb zapewnić dyrekcyi i artystom. A ty, panie Łebiński, jesteś bogaczem!

Oto sylwetka nowego Katona! Wiemy dobrze, że społeczeństwo nasze zanadto jest senne, by powszechny prawie szept protestu zamienił się w burzę, którąby panów tej kategoryi zwiała z wyżyn społecznych, zdobytych bezprawnie. Dla tych jednak, którzy z blizka przypatrzyli się panu Łebińskiemu, jasną jest rzeczą, że jego instynkty poziome prędzej czy później tak się dadzą we znaki społeczeństwu, że albo upadnie redaktor, albo upadnie pismo.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Zamach na „Gwiazdkę Cieszyńską.“

Korespondent szląski „N o w e j R e f o r m y“ donosi:

„Książę biskup wrocławski, otaczający zawsze czułą opieką swoich dyecezyan polskich, wydał ostatniemi czasy, za pośrednictwem generalnego wikaryatu w Cieszynie, do wszystkich księży na Śląsku rozporządzenie, które o g r o m n e g o n a r o b i ł o h a ł a s u. Rozporządzenie to w dosłownem tłomaczeniu opiewa:

Jego Eminencya, (ks. arcybiskup wrocławski kardynał Kopp), który w Nr. 41 „Gwiazdki Cinszyńskiej“ widzi wyszydzanie zaprowadzonych w Karwinie urządzeń kościelnych zarządził w dniu 30 listopada br. Gk, 377, a b y d u c h o w n i c z ł o n k o w i e w y s t ą p i l i n i e z w ł o c z n i e z k a t o l i c k i e g o T o w a r z y s t w a p r a s o w e g o, dopóki Towarzystwo to będzie stało w jakimkolwiek stosunku do wspomnianego dziennika.

Wskutek tego otrzymuje Wasza Przewielebność polecenie, aby wystąpił z tego Towarzystwa prasowego i doniósł tutaj o wystąpieniu najpóźniej do 26 bm.

Arcybiskupi wikaryat generalny.

Cieszyn dnia 3 grudnia 1896.

Arcyb. wikaryusz jeneralny
podp. *Karol Findiński.*

Kanclerz biskupstwa podp. *Jan Sikora.*

Przeczytałem skrzętnie cały 41 numer „Gwiazdki Cieszyńskiej“, lecz na żaden możliwy sposób nie mogę dociec, gdzie i w czem

---

czy profesor zatrzyma się koło niego? czy starczy mu śmiałości prosić go o operacyę? może felczer zapomni zastrzyknąć arszeniku? zmienić bieliznę, powtórzy się, czy nie powtórzy wczorajszy atak bólów?.. W niedzielę i w święta szereg ten powiększał się jeszcze o parę pytań:

„Czy przyjdzie żona Anna? które z trojga dzieci przyprowadzi, może żadnego nie weźmie i sama zupełnie nie przyjdzie?“

Otóż te pytania dziś z powodu święta długi czas ważyły mu się w głowie, a potem nagle, nie wiedząc dlaczego, przeszedł do innych myśli, takich, jakich już bardzo dawno nie miał.

Prawdopodobnie dlatego, iż Anna nie przyszła dziś, wpadł w takie dumania.

W rzeczy samej, przed tygodniem także nie była, dziś taka wielka uroczystość — i znowu zapomniała o nim! dlaczego? „Zapewne ma gości; przyszły do niej ciotki, zagawędziły się, i z głowy im wyszedł zupełnie. Tu doświadczył goryczy, potem zawodu. nudy, jakiś czas nic nie myślał, próbował zasnąć, aż nagle wynurzyła mu się w głowie odpowiedź:

— Cóż dziwnego, że zapomnieli o mnie? znudziłem; tak dawno już leżę: osiem miesięcy!

Po raz pierwszy zestawił w myślach ten długi szereg dni, które tu przekwękał, zliczył i otrzymał taką groźną wielkość; nie omylił się wszakże: wrzesień (tak, 11 września po kilkodniowych krwotokach przywieziono go tu), październik, listopad, grudzień — to 4 miesiące; styczeń, luty, marzec, kwiecień — znowu 4, więc razem osiem; a dziś jest 12-go maja, więc nawet 9 miesięcy już choruje!...

Znowu przez jakiś czas p. Andrzej leżał, jak mu się to często zdarzało, przysłonięty półświadomością, aż potem nagle zamkniętemi oczami przeczytał w przestrzeni słowa, które profesor wyrzekł niegdyś do studentów przy nim i o nim; zapomniał był o nich całkowicie, a teraz stanęły przed nim wyraźnie, jak na tablicy dużemi literami wypisane: „Jeśli narośl takiego rodzaju po operacyi znowu się zjawia, chory umiera“. Ostatnia część zdania była powiedziana po łacinie, zrozumiał ją przecież p. Andrzej. I przeczytawszy te słowa, uprzytomnił sobie, że guz ten ma już po raz drugi, wytłomaczył sobie, dlaczego koło niego stoi puste łóżko, a chory, co tam leżał uprzednio, zażądał, aby mu dano inne miejsce.

Całą siłą woli chciał teraz p. Andrzej zatrzymać w sobie dalszy bieg myśli, starał się przydusić, zagłuszyć, schować jedno słowo, krótkie i okropne, które tam gdzieś niezależnie zupełnie się tworzyło, i jednocześnie ujrzał jakby olbrzymi otwór, ogromną klapę, nagle otworzoną tuż koło niego, z której miał mrok zimny i straszny, bo niezgłębiony, konieczny... Usiłował mocno zamknąć oczy, chociaż miał je już zamknięte, aby nie widzieć tego, co mu się pokazało i ogarnął go najpierw strach potworny i nieopisany, a potem zaraz żal olbrzymi, niemający granic i miary; zda się, rzeka żalu, łez i smutku wpłynęła mu przez gardło w piersi, serce i zalała całe wnętrze... Chłód mroźny ściął mu skórę na stopach, popełznął dalej po nogach, dosięgnął kolan — i p. Andrzej szybko otworzył oczy, jak mógł najszybciej i rozejrzał się po sali. Nie radość, ale coś jakby ulgę poczuł, gdy zobaczył, że z okien leje się światło jasne i wesołe, że za oknami jest dzień błękitny i pogodny. W sali z przyjemnością spostrzegł też ruch większy, niż zwykle; prawie każdy miał gości, więc gwarzył; samotni uprzyjemniali sobie czas w inny sposób: „stary Piotr“ (z chronicznem cierpieniem nerkowem) trzęsącemi się rękami ślepiąc zmęczone oczy, grał w szachy z tym młodym suchotnikiem, rumianym na twarzy; ten stary (z chorobą cukrową) krotochwilny, przekomarzał się z „nianiuszką“ (tak nazywają tam usługujące siostry); cicho było tylko koło dziecka z chorem sercem, które już od kilku tygodni nie mówiło nic i poruszało się jak automat, i koło chłopa 20-letniego, skazanego na powolną śmierć. Wszystko to spostrzegł p. Andrzej i patrząc na tych ludzi, których widział ciągle od tak daw-

ksiądz Kardynał Kopp dopatrzył się „wyszydzania“ zarządzeń kościelnych w Karwinie. Chyba rozmowa „Jury z Jankiem“ mogła dać powód, że ktoś z niemieckiego otoczenia ks. Kardynała wrocławskiego, rozmyślnie źle przetłomaczył i wytłomaczył temu dostojnikowi kościelnemu biadanie „Janka“ na germanizacyą w Karwinie. Ale o urządzeniach kościelnych, a tem mniej o ich przekręcaniu, w tym num. „Gwiazdki“ ani słówkiem nigdzie nie wspomniano.

Wobec tego upada wszelki prawny powód i podstawa tego „ukazu.“ A trzeba wiedzieć, o co tutaj idzie. Oto przed kilku laty zawiązało się w Cieszynie „Towarzystwo prasowe“ polskie i katolickie, którego celem jest popieranie wydawnictwa „Gwiazdki Cieszyńskiej,“ gdyż byt jej w wysokim stopniu był materyalnie zagrożony. Że do Towarzystwa tego należą księża polscy, nic w tem dziwnego, a tem mniej gorszącego, gdyż, jak wszystkim wiadomo, „Gwiazdka Cieszyńska“ była zawsze pismem katolickiem, a nawet klerykalnem. Dla tego „ukazu“ tego nie można za nic innego uważać, jak tylko za prosty zamach na wolność stowarzyszania się, wykonany w tym celu, aby podciąć byt „Gwiazdki Cieszyńskiej.“ Na jakiej podstawie prawnej ks. biskup wrocławski, sam będąc poddanym pruskim, pozbawia astryackich poddanych praw, zagwarantowanych im sąsiedniczemi ustawami państwa, — to rzecz wytłomaczenia godna!

A rozporządzenie to ks. kardynała Koppa nie jest odosobnionem jakiemś zjawiskiem, lecz objawem metody, która przebija z całego postępowania jego z klerem polskim.

Przecież dość przypatrzeć się, jak ostatniemi czasy wszystkie większe probostwa na Śląsku cieszyńskim obsadzają się księżmi czeskimi i to więcej po niemiecku, niż po polsku myślącymi, — aby pojąć, o co tutaj idzie. Jeżeliby ks. Koppowi wolno było zakazywać księżom polskim, czy do którego z narodowych stowarzyszeń należeć im wolno, toż tylko kwestyą czasu będzie, kiedy ich zwierzchnik wrocławski rozkaże im wystąpić z „Macierzy szkolnej“ i t. p. stowarzyszeń.

Co do stosunków polskich w Karwinie to są one monstrualne. Nie dość, że ludność polska, zależna ekonomicznie od Niemców, gnębiona jest pod względem narodowym na każdym kroku, ale i kościół, nadzorowany przez ks. biskupa Koppa, zaczyna być środkiem wynaradawiającym. Książe kardynał wrocławski sprowadził tam, do Karwina, Jezuitów z Krakowa, niby to pod pozorem prowadzenia walki z socyalistami, a w gruncie rzeczy dla germanizowania ludności polskiej. Sprowadzono ich w porozumieniu z hr. Larischem i oddano im administracyę probostwa w Karwinie. Ojcowie Jezuici spełnili pokładane w nich nadzieje, i zaprowadzili zaraz w Karwinie kazania i nabożeństwa niemieckie, do czego poprzedni, zmarły proboszcz, ksiądz świecki, w żaden sposób nie dał się nakłonić.

Ks. biskup wrocławski rozpoczął więc grę bardzo niebezpieczną, mogocą narazić na szwank interesa kościoła w pierwszym rzędzie. Byłby też czas najwyższy, aby posłowie nasi zajęli się na seryo planem wyłączenia Księstwa Cieszyńskiego z pod jurysdykcyi biskupstwa wrocławskiego i przyłączenia go do biskupstwa krakowskiego.

* * *

O Mrzonkach „Dziennika Poznańskiego“

W „Dzienniku Kujawskim“ czytamy:

„Tak, jak rzeczy dziś się ukształtowały, nie możemy też i marzyć o jakiemkolwiek porozumieniu z spokojniejszemi i bezstronniejszemi żywiołami niemieckiemi w celu zwalczania zatruwające stosunki nasze kliki szowinistycznej. Nie brakło nigdy, a zwłaszcza w ostatnim czasie odnośnych prób z naszej strony. Przed tygodniem mniej więcej pojawił się projekt tego rodzaju w „Dzienniku Poznańskim„ zapewne w związku z tem ukazał się teraz list otwarty do Niemców pana barona Stanisława Chłapowskiego, a przed kilku dniami proponowała „Gazeta Toruńska“, ażeby włościanie polscy i niemieccy szli ręka w rękę w obronie interesów mniejszej własności ziemskiej, nawet przy wyborach, by włościanie niemieccy bardziej ufali polskim posłom w tym względzie, aniżeli np. broniącym tylko większej własności ziemskiej „bundowcom.„ Ostatni ten projekt uważamy za wręcz naiwny i śmieszny, bo w dzisiejszych stosunkach niemożliwy do zrealizowania. Prasa szowinistyczna tak bowiem obrabia i zatruwa opinią niemiecką, że nasi współobywatele niemieccy wolą raczej cierpieć z powodu wytworzonych tą hecą nieznośnych stosunków, niż przeciwko niej wystąpić, nie mając odwagi narazić się na zarzut zdrady niemczyzny.

Ale i możliwsza na pozór propozycya barona Chłapowskiego znalazła już cierpką odprawę w kilku organach niemieckich. Tak np. „Bromb. Tageblat„ drwi z niej, przedstawiając pokojowym zapewnieniom pana barona cały szereg zdań, wyrwanych z artykułów gazet naszych, a stwierdzających rzekomo, że Polacy zawsze jeszcze marzą tylko o oderwaniu się od Prus i wskrzeszeniu ojczyzny swej kosztem granic cesarstwa niemieckiego, że udają tylko lojalizm, a w gruncie rzeczy przejęci są nawet nienawiścią względem tronu.

Wywody bydgoskiego organu konserwatywnego nacechowane są taką złą wolą, obłudą i butą krzyżacką, iż przekonać muszą każdego, że z takim przeciwnikiem nawet wymiana zdań jest niemożliwą, a cóż dopiero jakiekolwiek porozumienie. Dość przytoczyć, że nawet w artykułach „Kuryera Pozn.„ dopatrzył się autor artykułu „Tageblatowego„ podobnych butowniczych zamiarów, a z całej treści artykułu tego wnosić można, że autora należy szukać między urzędnikami i że materyału do zwalczania pokojowych dążności naszych, zaczerpnął z biur rządowych...

LITERATURA I SZTUKA.

Asnyk w życiu politycznem.

W ubiegły poniedziałek święciła Polska 25-letni jubileusz działalności literackiej największego z współczesnych poetów polskich. Łącząc się w hołdzie najgłębszym z wszystkimi miłośnikami piękna i poezyi, przejęci czcią niewymowną dla wielkiego śpiewaka, wielkiego obywatela i wielkiego patryoty, wdzięczni serdecznie nieugiętemu obrońcy tych samych ideałów humanitarnych i narodowych, których straż w poznańskiej ziemi pismo nasze objęło, — pragnęlibyśmy numer dzisiejszy ozdobić wyrazistym portretem ducha i czynów poety. Z względów jednak niezależnych od redakcyi na razie uczynić tego nie możemy, przypominamy zatem tylko czytelnikom naszym, że „Przegląd Poznański“ zamieścił przed dwoma laty obszerną pracę Piotra Chmielowskiego p. t. „Fazy twórczości Asnyka“ a chcąc cenną tę rozprawę uzupełnić charakterystyką polityczną działalności znakomitego jubilata, podajemy poniżej sylwetkę skreśloną w „Słowie polskiem“ piórem Tadeusza Romanowicza, sejmowego i redakcyjnego kolegi Asnyka:

„Poeci nie lubią polityki. Mickiewicz wyraził się o niej bardzo niegrzecznie. Goethe pisał: *„Pfui! politisch' Lied — ein garstig' Lied“*. Polityka, choćby w celach była najwznioślejszą — w środkach i w wykonaniu musi być tak nieraz drobiazgową, tak poziomą, tak liczącą się z codziennością i z wszystkiemi słabostkami ludzi, że umysł poety niechętnie się do jej wymagań nagina. A jednak — Goethe był ministrem, a Mickiewicz „robił politykę“ we Włoszech i w Turcyi.

Nie obawiam się zaprzeczenia, gdy powiem, że Asnyk także polityki nie lubi. Rad chroni się od niej do swego zacisza przy ulicy Łobzowskiej, do salonu sztuki

---

zrozumiał zaledwie teraz, że są oni mu bardzo drodzy, że on ich bardzo kocha; na wszystkich oczy jego zatrzymywały się z przyjemnością, z jakiemś szczególnem ciepłem uczuciem; chciałby, żeby oni wszyscy zbliżyli się do niego, stanęli koło łóżka, żeby każdy z nich mówił coś do niego, a on ich dotykał rękami. Widok łóżka pustego napełnił go smutkiem, żałował nieobecnego, niepokoił się o niego, pytał siebie, kiedy wróci. Żebyż prędzej! Jakby to dobrze było, gdyby to zaroiło się, gdyby przyszli chorzy z innych sal, gdyby tu wrzał gwar rozmowy i śmiechy. Myślał teraz niezmiernie prędko, jakby z pośpiechem, sam sobie ałotował myśli, wypowiadał je półgłosem, głowę obracał to w jedną stronę, to w drugą, przypatrywał się uważnie każdemu przedmiotowi, skupiał na nim myśl, starał się nim tylko uwagę pochłonąć; bo tu gdzieś blizko, może koło samego wezgłowia, w jakimś kąciku jest coś nieopisanie okropnego, ogromnego, czego nie trzeba widzieć! Z kolei spostrzegł p. Andrzej, że wyszedł gdzieś student, z którym najbardziej lubił rozmawiać; zatęsknił do niego. A w tem samem oka mgnieniu przypomniał sobie wczorajsze dowodzenie tego studenta, że profesor „psa wart“, że jest „durniem“, często się myli. Ta ostatnia myśl, jak błyskawica, rozświetliła p. Andrzejowi mrok, który się nasuwał mu na klapy, i przez jedną chwilę poczuł się on niesłychanie szczęśliwym i lekkim, jakby ktoś wyjął z niego ciężar stopudowy i oblał ze wszystkich stron potokami światła; ale przez jedną chwilę tylko; niby krople deszczu, czy płatki śniegu, spadające na głowę, w mózgu zawirowało mu: „profesor jest najznakomitszym lekarzem w mieście i w kraju“, „wszystkich zawsze trafnie leczył“, „tracę na wadze“, „profesor p. Karola (studenta) „zciął“ na egzaminie,..“, ale p. Andrzej nie dopuścił dalszych wniosków, zrozumiał, że myśli o omylności profesora uczepić się musi, że musi ją koniecznie w każdej chwili mieć w mózgu, musi ją wszystkiemi siłami trzymać, aby nie uciekła; zupełnie jak więzień, co, siedząc w mrocznej celi, patrzy ustawicznie tylko na wąziutki promyk światła, przenikający przez szparę we drzwiach i mruży oczy, aby tylko w nich mieć światło.

— Panie Andrzeju, niech pan nas rozsądzi — odezwał się nagle koło niego suchotnik ów młody i różowy — niech pan nas rozsądzi: wygrałem u pana Piotra partyę szachów; graliśmy o dziesięć butelek piwa — musi więc dług swój spłacić! Czy tak?

(Dokończenie nastąpi.)

w Sukiennicach, do teatru, albo do partyjki wista. A kiedy i tam go ściga i spokoju mu nie da, ucieka na wieś — czasem i dalej: do Algieru, na Ceylon.

Bronił się jej walecznie przez czas długi. Po wielkiej „Sturm- und Drang-Periode“, po strasznym pogromie roku 1863, kiedy w Warszawie o chłodzie i głodzie po strychach i dachach wymykał się z domu do domu, aby ujść ścigającym go zbirom — zatopił się cały w nauce, szukając w niej ukojenia dla wielkiej boleści ducha po upadku sprawy, której siebie całego poświęcał. Wtedy głównie nagromadził te nieprzebrane skarby wiedzy — wiedzy przyrodniczej, ekonomiczno-politycznej, historycznej, filozoficznej i estetycznej, które w nim podziwiać musi każdy, kto tylko miał szczęście bliżej go poznać.

Taką wiedzą zbrojny, majątkowo niezależny — przybył do Galicyi w czasie, kiedy tu wrzało życie polityczne, w swoich początkach niejasne, w ruchach niezręczne, szukające dopiero dróg i środków. Zdała się trzymał od tego życia. Miał swoje wyrobione zdanie o prądach ówczesnych i stronnictwach, ze zdaniem tem się nie taił, czasem ujął je w poetyczną formę satyry („W przedpieklu“), ale żadnemu wpływowi porwać się nie dał, do żadnego stronnictwa się nie przyłączył, politycznie czynnym nie był. Bolała go reakcya porewolucyjna, już wówczas wysilająca się na teorye wyrzeczenia się i zapomnienia — bolał go zapleśniały konserwatyzm większości — odstręczał go brak politycznego wyrobienia i dojrzałości u stronnictw opozycyjnych. Zamknął się wyłącznie w nauce, poezyi, sztuce.

W wir życia politycznego wciągnęło go założenie „Reformy“, której pierwszy numer pojawił się z datą 1-go stycznia 1882. Stanął na czele pisma — dał mu swoją wysoką inteligencyę, swoje nieposzlakowane imię, swoją znakomitą literacką firmę, poświęcił mu swój spokój. Ze strony Asnyka przystąpienie do redakcyi „Reformy“ było prawdziwem poświęceniem, było zarazem czynem niemałej politycznej doniosłości. Waga jego nazwiska, rzucona na szalę, była od razu zapowiedzią powodzenia. Rzucił tym czynem rękawicę „powagom“ wydającym nieodwołalne wyroki w rzeczach literatury i sztuki — naraził się śmiało na ich nieprzyjaźń jawną i gorsze od niej szpilkowanie skryte — stanął do walki z tem wszystkiem, co wtedy w Krakowie miało władzę, wpływ, powagę, wziętość, co nadawało ton, co wznosić mogło ludzi i strącać. Asnyk się jednak nie zawahał — i ta natura na wskroś poetyczna, jak mimoza, tkliwa na szorstkie dotknięcie powszedniości, nałamać się potrafiła do twardych wymagań dziennikarskiego zawodu i praktycznych robót politycznych. Odczuł bowiem i zrozumiał, jak wielką jest doniosłość rozpoczętej przez reformę walki z dwojakiem złem, które się było wszechwładnie w Krakowie rozpanoszyło: ze stańczykowską doktryną historyczno-polityczną i z fałszywym konserwatyzmem w sprawach, dotyczących wewnętrznego rozwoju narodu. Zrozumiał, jak koniecznem było pismo, któreby utrzymywało w czystości myśl narodową i program, chroniąc je od skrajności na dwie strony szkodliwych — a zarazem krzewiło pojęcie prawdziwej demokracyi, tej, która nie spycha nikogo, a podnosi wszystkich.

Wszakże nie wystarczało stanąć tu na czele pisma, dać mu firmę swoją i swego ducha. Trzeba było działać na zewnątrz. Żeby zaś działać na zewnątrz, trzeba było przełamać w sobie właściwy poetom wstręt do praktycznej roboty politycznej, rzucić się w wir. W roku 1884 wchodzi do Rady miejskiej, wybrany z koła inteligencyi, pracuje i walczy w sekcyi szkolnej tejże Rady. W roku 1889, na usilne nalegania stronnictwa, przyjmuje kandydadaturę do Sejmu. Ówczesna jego mowa kandydacka była prawdziwie czynem politycznym. Nikt wtedy tak śmiało, jak on, nie rzucił rękawicy wszelkiemu wstecznictwu, egoizmowi, obłudzie. Warto go było widzieć i słyszeć, kiedy z trybuny sali radnej krakowskiej, z głębin swego tak bogatego umysłu wyrzucał szereg myśli doniosłego politycznego i etycznego znaczenia, z których każda starczyć mogła za temat do studyów, a które kamieniem padały na głowy osłupiałych przeciwników. Zwycięstwo w opinii było świetne — rychło przyszło po niem zwycięstwo przy wyborze samym, pomimo szalonych wysiłków strony przeciwnej, której tu szło już nietylko o jednego posła mniej lub więcej, ale też o ratowanie swojej powagi i powagi swego bardzo zresztą szacownego kandydata.

W sejmie wstąpił Asnyk do klubu lewicy, w którym głos jego ważył zawsze silnie na szali postanowień stronnictwa. Z sejmowej działalności jego podnieść wystarczy jeden fakt: wniosek o polepszenie płac nauczycieli ludowych, który jak zwykle u nas bywa, nie osiągnął od razu wszystkiego, do czego zmierzał, ale sprawę silnie pchnął na drodze, na której już uzyskano niejedną naprawę i na której niepowstrzymanie toczy się dalej. Motywowanie wniosku przez Asnyka, spokojne, poważne, logiczne, a jak wszystko, co od niego pochodzi, pełne głębokich myśli, zrobiło w sejmie silne wrażenie. To też tem bardziej ubolewać trzeba, że pogarszający się stan zdrowia poety nie pozwolił mu brać ciągłego udziału w pracach sejmowych, i skłonił go w roku zeszłym do stanowczej odmowy przyjęcia mandatu na drugie sześciolecie.

Odtąd skoncentrował swoją działalność publiczną w Towarzystwie szkoły ludowej — które mu wielką część swego dotychczas pomyślnego rozwoju zawdzięcza. Rozbudzić w całym kraju gorące a czynne zajęcie się sprawami szkolnictwa ludowego, — skierować ku niemu ofiarność, — ogółu bronić polskich mniejszości na kresach przez dopomaganie im do zakładania polskich szkół, gdzie większość tego nie chce. — walczyć z analfabetyzmem, — uzupełniać urzędową w sprawach szkolnych działalność, która nie może wszędzie dosięgnąć, a przez to wszystko przyczynić się do podniesienia ludu w obywatelstwie i patryotyzmie i do oparcia przyszłości na tej najsilniejszej podstawie — oto doniosłe cele Towarzystwa, szczycącego się tem — że ma Asnyka na swem czele.

Ten krótki, doryweczy szkic politycznej działalności jubilata — nie ma pretensyi do tego, by był wyczerpującym i zupełnym. Jedną ma tylko pretensyę: ma być wyrazem najgorętszego, serdecznego hołdu dla tego, który w piśmie jest pierwszej miary poetą, w czynach pierwszej miary obywatelem.

Asnyk udowodnił — że Goethe nie miał racyi. „Politisch' Lied“ bywa ein „schoenes Lied“ — gdy ma natchnienie tak gorącej miłości ojczyzny, a cel w sprawie tak świętej jak ta, której Asnyk służył.“

Książki na gwiazdkę.

Każdy utwor dla młodzieży musi być rozpatrywany pod dwoma względami: pedagogicznym i czysto-literackim. Dawniej zajmowano się przeważnie pytaniem, czy jakieś dzieło jest „odpowiedniem“ dla dzieci, t. j. czy nauka, zawarta w niem zaspokoić może moralne i umysłowe potrzeby niedojrzałych czytelników! dzisiaj przywykliśmy już baczyć pilnie na stronę estetyczną, bośmy się przekonali, że morał sucho wypowiedziany nie sprawia zazwyczaj wrażenia na duszy.

Z tego dążenia do przyodziania morału w szaty piękna może niekiedy wyniknąć zapomnienie o celu pedagogicznym, a przynajmniej takie osłonięcie tego celu, iż dojrzeć go trudno. Ta okoliczność wywołuje sarkanie poważnych a surowych pedagogów przyzwyczajonych do dawniejszego sposobu pisania, na niektóre nowsze przejawy belletrystyki dla młodzieży, w których dla odtworzenia prawdziwych rysów życia posłużono się czy to jakimś dobitniejszym wyrażem, czy sytuacyą, nie zawierającą w sobie bezpośredniej nauki moralnej.

Surowość w ocenie książek dla młodzieży jest niewątpliwie potrzebna, potrzebniejsza niż w krytyce dzieł dla dorosłych, ale nie powinna ona opierać się na zbyt ciasnej podstawie. Trzeba pamiętać, że nietylko poczucie moralne kształcić należy, lecz wogóle wszystkie potęgi ducha, a więc i fantazyę, a fantazya rozwinąć się nie może, jeżeli ją zanadto ściskać będziemy materacykami moralnemi.

Weźmy, dla przykładu, dwie książki, dość blizko spokrewnione ze sobą, bo przedmiotem obu jest kształcenie uczucia nie samolubnego, lecz zwracającego się ku celom ogólniejszym. Jedną z nich napisała p. Teresa Prażmowska, p. t. „Serce, powieść dla dorastającej młodzieży“ (Warszawa. T. Paprocki i Sp., 1896, str. 266); drugą p. Cecylia Niewiadomska, p. t. „Stracona, powieść‘ (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 315).

W „Sercu“ — Hela, zamknięta w sobie, pogrążona w książkach nie ma w domu ani sposobności ani pobudek do rozwinięcia skarbów uczucia. Matka, schorowana, nie znosząca najmniejszego gwaru, ani żywszych objawów radości, nie żąda od Heli usług — ma bowiem krewną, której zachowanie się przy jej łożu jest jej najmilsze. Kłopoty gospodarskie zdane są w zupełności na starą, poczciwą sługę. Hela przywyka tedy do życia w sobie i dla siebie tylko; z bratem jedynie młodszym częściej rozmawia; nie rozumnie, żeby można się żywo interesować ludźmi biedniejszemi; nie rozumie potrzeby pracy. Wakacye przepędzone na wsi wśród rodziny, która wprost przeciwnemi rządziła się zasadami, której każdy członek miał jakieś pożyteczne zajęcie (gospodarstwo, ogrodownictwo, opiekę nad żłobkiem, dbanie o zdrowie służby dworskiej i wieśniaków i t. p.) — rodziny kochającej się serdecznie, ale nie zacieśniającej swego uczucia do obrębu najbliższego, działają na skrzepłe nieco serce Heli tak silnie, że odtąd nowa epoka w jej życiu się rozpocznie, odtąd zajmie się już i domem i pielęgnowaniem matki, która z kuracyi powróciła nieco zdrowsza.

Obraz rodziny idealnej w Laskowie jest niewątpliwie bardzo pouczającym, bardzo ładnie i serdecznie pomyślanym, ale gdyby mniej w nim było dydaktyzmu, a więcej prawdy życia, rodziłby zapewne silniejsze wrażenie. Obecnie zadużo w nim doskonałości; zadużo skupiono szczegółów, mających wskazać różne środki, jakiemi dni i lata najmłodszego nawet wieku wypełnićby można. Czytelnik zdziwi się może, iż autorka potrafiła taki wzorowy dwór odnaleźć, a może poczyta go za bajkę i do serca go nie weźmie. A szkodaby była, bo wiele a wiele dobrego nauczyć się w nim można.

P. Prażmowska starała się dydaktyzm ów ożywić za pośrednictwem odmalowania prędkiej jak iskra, roztrzepanej, drącej często sukienki, łamiącej parasolki, Kazi — i przyznać potrzeba, że ta osóbka interesuje rzeczywiście. Druga ładna postać w powieści — to Helena, która w młodości ratuja-

leńką Helę, wyskoczyła z powozu i została kaleką na całe życie, lecz nie stetryczała nie uważała się za nieszczęśliwą; owszem — wykazała wśród swych cierpień duszę prawdziwie anielską, a swojemi radami głównie wpłynęła na idealne urządzenie życia mieszkańców wiejskiego dworu, swojej rodziny. Jej też postępowanie oddziałało na ukochaną Helę. Niektóre sceny, do których wchodzi kaleka, są prześliczne, prawdziwie chwytają za serce.

„Stracona" p. Niewiadomskiej jest to dziewczynka przecudnej piękności, pieszczona przez starszą siostrę, zastępującą matkę, psuta przez innych, co się z estetycznego punktu widzenia na życie zapatrywali. Wyrobił się w niej egoizm, dążący do zaspokojenia wykwintnych wymagań, szukający zadowoleń, zabaw, uwielbień. Nic nie pomogły przestrogi ludzi poważniej na zadania człowieka patrzących; nic nie pomogły przykłady poświęcającej się dla dobra siostry, ani też humanitarne dążenia brata, który potrafił przy bardzo szczupłych środkach materyalnych zająć się losem biednych chłopców i wykształcić ich na rzemieślników; nic nie pomógł wreszcie widok panienek, co się zdobyły na założenie szkoły rzemiosł dla dziewcząt; Celina pracy jąć się nie chciała i lubo uczucie ciągnęło ją ku młodemu i szlachetnemu Bolesławowi, wyszła za starego lecz bogatego człowieka do Francyi, ponieważ ten nie żądał od niej pracy i wszystkim jej zachciankom czynił zadość. Szczęśliwą nie była, lecz udawała zadowolenie, gdy się znalazła wśród swoich dawnych znajomych, co się zresztą bardzo rzadko zdarzało — stale bowiem mieszkała w Paryżu.

Nie chciała autorka nawracać Celiny; stwierdziła fakt w życiu nieraz spotykany, że samolubstwo nieczułem się okazuje na wpływy nawet bardzo umiejętnie wywierane. ...zyż przez to książka p. Niewiadomskiej stała się nieodpowiednią dla młodzieży? ...ądzę, że nie. Za dużo w niej jest usposobień i dążeń szlachetnych, ażeby nie miały przeciwważyć wrażenia niezbyt dodatniego ...tycznie, choć powabnego estetycznie, jakie ...prawia historya Celiny. Te panienki, które ...ię zgodzą na jej los udawanego zadowolenia, zapewneby się nie poprawiły, nawet wtedy, gdyby ujrzały nawrócenie bohaterki.

„Stracona" obfituje w mnóstwo scen nadwyczaj żywo, realistycznie kreślonych; rozmowy mianowicie młodzieży są kopiowane ... natury. Powieść zajmuje, lecz dla przejrzystości lepiej podobno byłoby, gdyby autorka mniej osób wprowadziła.

Żywo również i barwnie, lubo z pewnem ...iezawsze estetycznem zaniedbaniem, pisane ... dwie nowe powieści dla młodzieży p. Wa...erego Przyborowskiego, który się już od ...t wielu dał poznać jako zajmujmujący opowiadacz. Jedna z nich ma napis „Madejo...e łoże, opowiadanie historyczne XI wieku, ... 6-ciu rysunkami Tadeusza Cieślewskiego" ...Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. ...55); a druga: „Na oceanie Spokojnym, po...ieść dla młodzieży z 9-ciu ilustracyami E. ...indemana (Petersburg, K. Grendyszyński, ...897, str. 296.)

„Madejowe łoże" jest źle skomponowa... W pierwszej połowie książki główną ...lę odgrywa rozbójnik Madej i wojewoda ...asław (rzecz się dzieje w chwili wyjazdu ...yksy z Polski); a w drugiej przedstawione ...stały dzieje napadu Czechów na Polskę i ...wrotu Kazimierza Odnowiciela; Madej zaś ...hodzi tu na plan ostatni. Pierwsza część ...e zadawalnia ani uczucia moralnego (wy...ślania, przekleństwa, zabójstwa ustawicz...), ani estetycznego (jednostajność sytua...). Z tej pierwszej części przy drugiem ...daniu stanowczo usunięta być winna sce... której Staszek na rozkaz Madeja tak strzela do ludzi, jak do kaczek, bez okazania bodaj najlżejszego wstrętu do tych morderstw. Część druga bardziej jest urozmaicona, a mniej przedstawia lubowania się w rozlewie krwi.

„Na oceanie Spokojnym" — to rzecz pod wpływem powieści Verne'a nakreślona. Chodziło autorowi o nagromadzenie przygód niebezpiecznych, z których bohaterowie wychodzą obronnie. Szkoda, że pomysł został oparty na tajemniczym proszku, króry dodany do ołowiu i siarki wytwarza złoto. Po co bałamucić umysł młody takiemi baśniami?

Trudno też powiedzieć, ażeby projekt młodego irlandczyka, co posiadłszy ów cudowny proszek, chce zniszczyć potęgę Anglii za pośrednictwem jednego, bodaj najlepszego okrętu, mógł choć na chwilę wydać się komukolwiek prawdopodobnym. Dodać trzeba, że autor bynajmniej nie pochwala idei zemsty, jaką jego bohater przeprowadzić się stara, owszem przy końcu książki każe mu się idei tej wyrzec, mówiąc bardzo słusznie, że „niszczenie nie jest budowaniem"...

Opowiadanie samo jest interesującem, lubo czuć na każdym niemal kroku, że autor traktuje przedmiot swój lekko, z ledwie tajonym uśmiechem drwiącym.

P. Chmielowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Nauki społeczne w uniwersytecie.

Uniwersytety mają w zasadzie do spełnienia dwa zadania: wykładają i wzbogacają wiedzę. Jeżeli zaś bliżej rozpatrzymy dwa te zadania, trudno będzie nam zataić, że pomiędzy niemi istnieje pewna ograniczona sprzeczność. W charakterze wszelkiego nauczania spoczywa dogmatyzm: od ucznia wymagamy przedewszystkiem wiary w prawdziwość słów naszych. Nauka wyklucza dogmat; jej hasłem jest — wątpić; celem jej bowiem prawda jest nie ta, która leży najbliżej nas i do której się dochodzi po drodze najmniejszego oporu, ale ta tylko, którą zdobywamy po długiej walce z sobą i ze światem. Widzimy więc, że dwa zadania uniwersytetu nie łączą się tak organicznie, jakby to się zdawać mogło. Jeżeli znowu nauczanie wymaga dogmatyzmu, to nie wielkie zdobycze wiedzy mogą być włączone do ogólnej listy prawd ogłaszanych z katedry, albo raczej takie tylko, co do których niema już „żadnych wątpliwości", prawdy uznane, uszanowane, często już nawet nieco przestarzałe i przestałe. Albowiem to, co przed chwilą wyrzucił z siebie wulkan geniuszu ludzkiego, o co walczą ludzie z nakładem wszystkich sił swoich moralnych, a często i fizycznych, co kochają albo nienawidzą — to wszystko jest jeszcze nazbyt świeże, nazbyt młode i nieuznane, aby mogło znaleźć swą formę w skrystalizowanej „prawdzie" uniwersyteckiej. Niechaj przejdą dziesięciolecia, niechaj uspokoją się namiętności, postarzeją się bojownicy, wtedy już spokojnie „z czystem sumieniem" będzie można zarejestrować, przedmioty dawniejszych sporów między paragrafy odczytywanej z katedry starej zatabaczonej książki. Nie zapomnijmy, że Schopenhauer czuł organiczny wstręt do filozofii uniwersyteckiej i nie bez głębokiej ironii widział symbol profesorskiej powagi w peruce. I niezapomnijmy także o tem, że Spinoza pomimo wszystkich zaznanych w życiu tragedyi nie chciał przyjąć posady profesora i że Darwin jej nie zajmował. „Nowe horyzonty" niepotrzebne snać są na obrazie tych studyów; niepotrzebne, bo jak wskazaliśmy wyżej, nie mogą one mieć miejsca obok głównego celu istnienia uniwersytetów, obok pedagogiki, dogmatyzmu.

Takie były przyczyny, dla których naukę o społeczeństwie, socyologię bardzo późno wprowadzono do programu wykładów uniwersyteckich. I dziś jeszcze, pomimo że udało się gdzieniegdzie pokonać wszystkie przeszkody, nie wszędzie uznano jej prawa obywatelskie. Pozostawiając na uboczu stosunki amerykańskie, o których mowa będzie niżej i parę „wolnych" uniwersytetów (w Brukseli, w Paryżu) socyologia nie posiada nigdzie w Europie katedry „zwyczajnej", jak prawo karne albo historya. Nie jest przedmiotem obowiązkowym, wykładają ją docenci prywatni, w rodzinie lekcyi jest kopciuszkiem. W Berlinie od lat dwóch dopiero zyskała sobie przedstawiciela w osobie Simmela, we Fryburgu (badeńskim) wywalczył ją Grosse, w Montpellier — zapoznaje z nią swych słuchaczy Lapouge, a po nim Bernes. Takie same funkcye w paru innych uniwersytetach francuskich pełnią Durkheim (w Bordeaux) — i Bertrand w Lugdunie. Są to atoli tylko luźnie z organizmem uniwersytetu powiązane objawy. Francuzi nie wiedzą nawet, do jakiego właściwie wydziału przyczepić mają nowy przedmiot: gdzieniegdzie wykładają go na wydziale literackim, gdzieindziej znowu na prawnym. Niedawno płodny redaktor „Przeglądu socyologicznego" R. Worms wystąpił z projektem utworzenia w Paryżu osobnego wydziału nauk społecznych, opartego na bardzo szerokich podstawach, ogarniającego cały obszar nauk socyologicznych. Oto jego wywody. Odróżnia on dwie kategorye nauk społecznych. Jedne są opisowe i konkretne, drugie oderwane i porównawcze. Socyologia zupełna, powinna rozpatrzeć wszystkie społeczności w porządku ich pokrewieństwa, badając formy i funkcye każdej; następnie przystąpi do nakreślenia syntezy, obserwując rozwój każdej formy i każdej funkcyi we wszystkich społecznościach. Takiej podwójnej podróży umiejętności odpowiadać musi podwójna ilość katedr. Worms stara się tedy obliczyć ich przypuszczalną ilość. — Socyologia opisowa zaczyna od społeczeństw najniższych, szczątkowych i kończy na najwyższych szczeblach cywilizacyi. Będzie więc jedna katedra dla społeczeństw zwierzęcych, druga dla przedhistorycznych, trzecia dla afrykańskich, czwarta dla australijskich, piąta dla amerykańskich, szósta dla Japonii i Chin, siódma dla turańskich (Tatarzy, Turcy, Finnowie), ósma dla semitów (Arabowie, Fenicyanie, Żydzi, Asyryjczycy), dziewiąta dla starożytnych Aryan, dziesiąta dla społeczeństw europejskich od ery chrześciańskiej do Odrodzenia, jedenasta wreszcie obejmie społeczeństwa europejskie (i nowo amerykańskie) od XVI stulecia. Tyle dla socyologii opisowej. Przechodzimy następnie do porównawczej. Tutaj zalicza Worms anatomię porównawczą społeczeństw i ich fizyologię. W pierwszej przedstawi się je w oświetleniu porównawczem według warunków otoczenia fizycznego (gleba, klimat, bogactwa mineralne, roślinne i zwierzęce) i ludności rozpatrywanej ze stanowiska antropologicznego, demograficznego z podziałem na klasy i zawody. W ten sposób otrzymamy katedry geografii porównawczej (albo mesologii — nauki o środowisku — społecznej), antropologii porównawczej, psychologii, filologii i demografii porównawczej. Poza-

tem zostaje jeszcze drugi dział socyologii porównawczej, który rozpatruje grupy społeczne pod względem ich odżywiania, ich rozmnażania się, ich stosunków duchowych. „Odżywianie“ t. j. życie ekonomiczne wymagać będzie trzech katedr: jednej dla pracy (produkcya, bogactwo), drugiej dla podziału, trzeciej dla obiegu i spożycia bogactw. Rozmnażanie się obejmie w całokształcie swych zjawisk (miłość, małżeństwo, życie rodzinne, wychowanie dzieci) dwie katedry. Pozostają wreszcie stosunki duchowe: dzieje religii, idei moralnych i obyczajów, sztuk pięknych i literatury, nauk przyrodniczych, prawa i instytucyi politycznych. Do tych wyliczonych wyżej przedmiotów czyli do ogólnej cyfry 26 katedr dorzuca Worms jeszcze jedną, ostatnią: tutaj rozpatrzeć by należało kwestye metody i przedmiotu nauk społecznych, tutaj niby w ognisku optycznem zbiegałyby się promienie ze wszystkich poszczególnych oddziałów fakultetu socyologicznego.

Jestto, jak widzimy, plan obszerny, szeroko pomyślany i nierokujący z tych właśnie powodów prędkiego i dodatniego urzeczywistnienia. Po części już dzisiaj uniwersytety liczą pośród swych profesorów specyalistów w dziedzinach zaznaczonych w spisie powyższym. Są to jednak wypadki odosobnione, niepowiązane wspólną organizacyą i wspólnym celem. Przed kilku laty utworzony uniwersytet wolny w Brukseli i kolegium społeczne w Paryżu, gdzie wykłada Tarde, są już słabą wskazówką drogi, którą kroczyć będzie przyszłość uniwersytetu socyologicznego.

Ale jestto zawsze „muzyka przyszłości“. Przypatrzmy się natomiast podobnym nieco organizacyom nauczania socyologicznego w Ameryce Północnej. Amerykanie to naród praktyczny, młody i niedźwigający ciężarów różnorakich tradycyi; dla nich niemasz zagadek i niemożebnych do rozwiązania węzłów gordyjskich. Odrazu, bez długich rozmyślań „biorą“, jak mówi przysłowie francuskie, „byka za rogi“, nie pytając wiele o historyę, o spokojny rozwój naturalny. Tu rozstrzygają przedewszystkiem cele praktyczne, bieżące i rozstrzyga logika potrzeby obecnie istniejącej. Racyonalizm historyi interesować może tylko narody mające „historyę“ w świecie materyalnych i duchowych stosunków. Yanke nie ma dziejów.

Zapoznamy w krótkich słowach czytelnika z organizacyą szkoły nauk politycznych istniejącą przy Columbia-College. Szkoła ta ma na celu przygotowanie młodych ludzi do wszelkich zawodów politycznych, ukształcić dziennikarzy, uzupełnić wykształcenie dostarczane przez fakultety prawne, przygotować nauczycieli nauk politycznych. Całokształt przedmiotów wykładanych obejmuje trzy wielkie grupy: 1) historyę i filozofię polityczną, 2) prawo publiczne i prawoznawstwo porównawcze, 3) ekonomię polityczną i nauki społeczne w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Szemat ten atoli nie daje jeszcze dostatecznego wyobrażenia o lekcyach w szkole. I tak pod rubryką (1) historyi i filozofii politycznej rozumieć należy piętnaście rożnych umiejętności, jak dzieje Europy pojęte nadzwyczaj szeroko (ogólna historya konstytucyjna Europy, Anglii, Irlandyi, Francyi, historya prawa narodów europejskich, dyplomacyi, (geografia historyczna), jak dzieje Ameryki (historya konstytucyi, dzieje kolonii i rewolucyi amerykańskiej) itd., wreszcie „filozofia polityczna“ obejmuje dzieje ogólne teoryi politycznych od Braminów do Spencera oraz amerykańską filozofię polityczną. — Rubryka (2) prawa publicznego i prawoznawstwa porównawczego zawiera: prawo konstytucyjne porównawcze Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francyi i Niemiec, prawo międzynarodowe, karne, administracyjne i rzymskie — wszystko w porównawczem oświetleniu, wreszcie teoryę prawa. Trzecia nareszcie sekcya (ekonomia polityczna i nauki społeczne) ogarnia: ekonomikę historyczną i praktyczną, historyę ekonomii politycznej, teoryę kolei żelaznych (ze stanowiska prawa i stosunków ekonomicznych) finanse i dzieje przemysłu amerykańskiego; następnie mamy socyologię i statystykę w 4 przedmiotach: 1) nauka statystyki, 2) teorye komunistyczne i socyalistyczne, 3) socyologia (dzieje socyologii i socyologia właściwa ze stanowiska antropologii, etnografii i demografii) 4) penologia (nauka o karach t. j. zbadanie specyalne warunków socyologicznych przestępstw i odpowiadających im kar. Zaznaczyć należy, że przedmioty wykładane są w szkole nader obszernie: kurs obejmuje 3 lata i 20 godzin lekcyi tygodniowych. Każdy przedmiot ma swoje seminaryum, gdzie słuchacze według wskazówek profesora opracowują różne specyalne zagadnienia z właściwej dziedziny.

Takie są główne rysy rozszerzania dotychczasowych ram wydziałów uniwersyteckich przy wprowadzeniu do grona umiejętności nowej siostrzycy: nauki o społeczeństwie.

Zen. Por.

TO I OWO.

Złote myśli z pism Asnyka.

Dziś naszym obowiązkiem, trwać w milczeniu głuchem,
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub ruchem,
Dziś tylko wolno naprzód poruszać się duchem,
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy!

(W oczekiwaniu jutra).

* * *

Idźcie! jak światła przystoi czcicielom,
Oświecać drogi ludzkiego pochodu!
Ku coraz wyższym i jaśniejszym celom.
Szukajcie prawdy dla swego narodu,
Ażeby przez nią posiąść mógł Helota
Stracone piękno i dobro żywota.

(W 25-tą rocznicę powstania z r. 1863.)

* * *

Z fizycznej siły wykwita
Sił wyższych czynność społeczna,
I mądrość w środki obfita
I miłość ludzi słoneczna
I wielkich poświęceń zdolność,
Za wiarę, ojczyznę, wolność!

(Do sokołów).

* * *

To, co było czynem wczora,
Dziś jest pieśnią lub legendą —
A gdy nowa błyśnie pora,
Pieśni w czyn się zmieniać będą.

(Krąg przemian).

* * *

To przywiązanie, które ludzie prości
Czerpią z cichego z naturą przymierza,
Stwarza ojczyznę, jako cel miłości.

(W Tatrach).

* * *

Żyje ten naród, co prawdziwą
Zasługę pojmie i ocenia
I w ślad za myślą idzie żywą
I zbierze świeżych kłosów żniwo
Na drogach swego odrodzenia.

(Na jubileuszu Kraszewskiego).

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnie na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnieście gmach!
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalość wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

(Do młodych).

* * *

Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki...
Takim dowództwo odbierze świat,
A mienie — wydrą wypadki!

(Dzisiejszym idealistom).

* * *

Przechowuj w sercu szlachetną marę
Przechowuj!
I żyj miłością swego narodu,
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu
O idealną oprzej się wiarę
Jak powój!

(W albumie).

* * *

Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,
To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije —
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.

(Nad głębiami).

* * *

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.

(Nad głębiami).

* * *

Moralność mści się... a ma żądła węża.

(Upomnienie).

* * *

Minęły te czasy, w których dziewczęta stawały się ofiarami egzaltacyi uczuć; dzisiaj grozi im odwrotne niebezpieczeństwo. Ze wszech stron uczą je wierzyć w nieomylność ludzkiego rozumu, rządzić się zimnem wyrachowaniem i lekceważyć każdy poryw serca. Powiadają im, że miłość, to mrzonka i niepotrzebny zbytek w życiu, a główną podstawą szczęścia wygodny byt i znaczenie, jakie daje majątek . . . . Kobiecie nie wolno w żadnym razie wyrzekać się tego szczęścia, jakie daje prawdziwa miłość. Biada tej, która o tem zapomni; pomści się na niej własne jej serce, dopominając się po niewczasie o swe prawa i pozostanie jej na całą przyszłość niezapełniona niczem pustka życia, żal za dobrowolnie odepchniętem szczęściem i coraz uciążliwsze jarzmo obowiązku.

(Bracia Lerche.)

Na Wyłomie.

(W sprawie jubileuszu Asnyka. — Druga batalja lojalizmu.)

Najsmutniejsze doswiadczenia nie zdołały mi dotychczas odebrać optymizmu, i zdaje mi się, że z choroby tej nie wyleczy mnie żaden z uczniów Eskulapa, żadna dawka naszej a s a f o e t i d y dziennikarskiej, naszych emetykowych poezyi, naszej chloroformującej polityki i znieczulonego zapału dla sztuki i piękna. I tak przekonany byłem, spiesząc na Asnykowski wieczór do teatru, że ujrzę w lożach i krzesłach cały kwiat inteligencyi poznańskiej, że nawet wieś, udzieliwszy chwilkę wytchnienia tak prześladowanym w obecnej porze szarakom, pospieszy złożyć hołd zasłużony największemu z liryków współczesnych. Spotkało mnie jednak smutne rozczarowanie. W przedsionku cisza grobowa, przy kasie duma nad znikomością rzeczy ludzkich wogóle, a zupełnym brakiem nabywających bilety w szczególności skwaszona ministrowa skarbu. Smutne przeczucie zamienia się w pewność, gdy wkraczając do sali teatralnej, spostrzegam przeraźliwe pustki. W krzesłach i lożach pierwszego piętra naliczyłem co najwyżej 30 osób, nie wyłączając artystów, recenzentów i redaktorów, którzy jak wiadomo największy dochód przynoszą naszej kasie teatralnej. Tylko tam wysoko, w pobliżu nieba, czerni się garstka publiczności, — może 40, może 50 widzów.

Tak Poznań hołd składa wielkiemu mistrzowi, a „Kuryer Poznański“ znalazł znowu temat do polemiki z tym „szabasowym“ Sullą, który skarży się aż do znudzenia na wyjałowienie naszego życia, na zgrzybiałość społeczeństwa, na sen rozpaczliwy. I nie wątpię ani jednej chwili, że w gwiazdkowym numerze, zapowiedzianym przez redakcyę „Kuryera Poznańskiego“, znajdzie się wierszyk „małego Włodzia“ takiej mniej więcej treści:

„Mówi Sulla, że Beocyą
Jest nasz Poznań ukochany,
Lecz to znane, że pan Sulla
Kanikułą opętany.
Kto nie wierzy, niech zaglądа
Do przybytku naszej sceny,
A wykrzyknie wielkim głosem,
Że nasz Poznań to Ateny“.

Wybaczy mi jednak „Kuryer Poznański“, że ani jego proza, ani poezya nie wywiera na mnie silniejszych wrażenia, i dla tego bez oglądania się na ewentualną kanonadę moich najserdeczniejszych prezentuję ten pusty teatr w Asnykowski wieczór jako smutny dowód naszego wystudzenia, naszych zagasłych iskier poezyi i piękna.

A może obok typowej apatyi społeczeństwa Poznańskiego odegrały tu rolę jeszcze inne motywy? Niewątpliwie, — winną jest także nasza prasa codzienna, że nie umiała zareklamować jubileuszu słonecznego śpiewaka że nie zelektryzowała, nie rozgrzała sfilistrzałych Poznańczyków. W Krakowie i Lwowie przygotowywano ludność do uroczystości jubileuszowej jak do wielkiego święta, mówiono o płomiennych dźwiękach lutni Asnykowskiej, o jego rzewnym smutku i perłowym śmiechu, o tej myśli, co szukała najgłębszych zagadnień bytu, co u stóp krzyża narodowego się wiła, co nowe gwiazdy zapalała w górze, co łkała nad upadkiem poezyi, co skargę „młodych“ i „starych“ w gromowych wyśpiewała dźwiękach, pełnych ironii gryzącej, gniewu i żalu serdecznego, co ukochała lud, ojczyznę, ludzkość, swobodę i piękno. A u nas? Mój Boże, zaledwie jeden i drugi z dzienników bąknął, że Galicya gotuje dla Asnyka hołd jubileuszowy, zaledwie zamieścił komunikat nadesłany przez p. Rygera, że w teatrze odbędzie się wieczór Asnykowski. Nie umiano nawet słomianego ognia rozpalić w zimnej z natury publiczności, więc nie dziw, że teatr świecił pustkami.

A zresztą zwolennicy trzech lojalizmów uważali prawdopodobnie za niestósowne, by składać hołdy poecie, który był na tyle nieostrożnym, że piastował urząd naczelnego kierownika „Nowej Reformy“ i przy wyborach do sejmu pobił Stańczykowskiego kandydata. Stronnictwo „Czasu“ usunęło się w Krakowie demonstracyjnie od owacyi jubileuszowych dla czerwonego poety, a stronnictwo naszych obu Kuryerów podążyło śladem galicyjskich kolegów. Co tam poezya, co tam geniusz, co tam pieśń wspaniała i wielka miłość ojczyzny?! W królestwie trzech lojalizmów przed tym jedynie zgina się kolana, kto znak herbowy Koźmianów i Kościelskich przypiął do klapy surduta, a ktokolwiek nie przywdział liberyi tych mędrców politycznych, ten warchoł nie godzien pokłonu, chociażby blaskiem geniuszu rozświecał mroki ludzkości. Gdyby tak jaki Kuryerowy poeta świecił dwudziestopięciolecie swych rymów, ileż to surm potężnych grałoby po kraju, ileż to pism wołałoby z namaszczeniem, że oddanie hołdu „wielkiemu mężowi“ to święty obowiązek narodowy.

O! biedna dyrekcyo teatru, biedny Rygerze! Któż ci podszepnął ten szalony pomysł, by czcić Asnyka na poznańskim bruku!

I jak na nieszczęście zjawia się jubileusz „czerwonego poety“ w tej samej chwili, gdy skompromitowany lojalizm znów sprawia szyki w armii zmieszanej i onieśmielonej. Na wszystkich punktach życia naszego brzmi gromka pobudka „nowych horyzontów“, i sztandar ugody tak niemiłosiernie zdeptany stopą niemiecką, tak poszarpany i oplwany, znów po mozolnem wypraniu i połataniu powiewa na szańcach polskich. Zdawało się, że umizgi Koła polskiego do pruskiej armii i marynarki stracą na zapałach i afektach po krzyżackiej zdradzie, — dziś jednak wieść inna idzie z Berlina, dziś dowiedział się naród, że posłowie jego nowe hołdy i nowe podarki pikelhaubie złożyli, że w obradach komisyi nad budżetem wojskowym wszystkie postulaty rządowe powitali kornym pokłonem, że nawet za powiększeniem kapel wojskowych głosy swe oddali, lubo tym kapelom zakazano grywać polskich melodyi i wygnano je z wszystkich koncertów, gdzie polskie figurują programy. Coraz lepiej! Drwią niemieckie dzienniki, drwi rząd, drwią wszystkie stronnictwa w parlamencie i sejmie, — a my coraz głębiej brniemy w trzęsawiskach politycznej ułudy. I nie dość na akcyi ugodowej w Berlinie, — tu na miejscu grają trąby i skrzypce i flety lojalne. Cudowna muzyka i cudowne tony! Tak mówi n. p. „Dziennik Kujawski“: „Spodziewamy się, że Koło polskie uwzględniając interes państwa, będzie t a k ż e uwzględniało żywotne interesa swych polskich wyborców“. Jak wam się podoba to „t a k ż e“? Państwo na pierwszem miejscu, a interes narodu polskiego to taki sobie gracik podrzędny. Ostatecznie i o nim wspomnieć wypada.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W teatrze poznańskim odegrano w ubiegły wtorek na uczczenie jubileuszu Asnyka „Gałązkę heliotropu“ i „Przyjaciół Hioba“. Wykonanie obu utworów chromało mianowicie pod względem pamięciowym. Psuto wiersze Asnyka i komponowano na poczekaniu całe tyrady dla zamaskowania ambarasu. Z artystek wyróżniała się prawdziwie charakterystycznem zacięciem, elegancyą i swobodą p. A u d r a n w roli Estetyńskiej a panna T a ń s k a w roli Leoni, miała wiele szczerych dramatycznych akcentów. Z artystów zdobyli sobie uznanie pp. T a r a s i e w i c z i J a k u b o w s k i. W grze p. O l s z e w s k i e g o jako C y g a n k a było sporo humoru i prawdy, lecz za mało słów Asnyka, a za wiele samego artysty. — W ubiegłą środę wystąpiła po raz pierwszy z koncertem na scenie poznańskiej pani P o s i a d ł o w s k a, uczennica Lucci. Śpiewaczka głosem silnym, czystym i dobrze ułożonym zdobyła sobie sympatye publiczności, lubo widoczna trema nie pozwoliła jej rozwinąć wszystkich zasobów talentu. — We Wiedniu budzi szczerą wesołość nowa farsa Buchbindera p. t. „E i n k e c k e r S c h n a b e l“. — W Krakowie wprowadzono istniejący gdzieniegdzie w Europie zwyczaj wygłaszania przed widowiskiem teatralnem objaśniających utwór prelekcyi. — Ibsena fantastyczny dramat „Peer Gynt“ z muzyką Griega wystawiony został z powodzeniem na scenie amatorskiej „L'oeuvre“ w Paryżu. — W teatrze berlińskim Lessinga zjednała sobie uznanie krytyki i publiczności sztuka Roberta Bracco p. t. „Maski“. Tematem utworu jest wiarołomstwo, traktowane realistycznie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Abonent.** Życzeniu Pana stało się zadość w dzisiejszym artykule wstępnym. Nadmieniamy, że artykuł ten w kilku tysiącach odbitek rozszerzymy po Księstwie, Galicyi i Królestwie.

— **Drugi przyjaciel pana Goremykina**. Dziękujemy uprzejmie za wycinki, lecz w dalszą polemikę z tym panem wdawać się nie myślimy. Jest to przecież figura na wskroś humorystyczna i wystarcza posłuchać, co sobie ludzie opowiadają o jego śniadaniach, na których każdy z uczestników „zjadał 37 tuzinów ostryg“, o jego tajemnicach politycznych, które, jak mówi, zatrząść mogą Europą, i o tej roli straszliwej, którą, jak zapewnia na ucho, odegrają jego wiadomości strategiczne w przyszłej wojnie europejskiej, by odłożyć pióro z uśmiechem politowania. Zresztą, na cóż by się zdały wszelkie lekcye literatury i logiki, kiedy ten pan redaktor nie rozumie najprostszego zdania, i gdy ktoś n. p. twierdzi, że ziemia obraca się około słońca, — on odpowiada, że małpa należy do zwierząt ssących.

— **Jedna z czytelniczek.** 1) „Biblioteka warszawska“ rozporządza lepszemi siłami literackiemi, lecz „Ateneum“ jest znacznie ruchliwsze i aktualniejsze. 2) Polecamy „Dzieje literatury powszechnej z ilustracyami“, opracowane p. Edwarda Porębowicza Juljana Adolfa Święcickiego i Feliksa Jezierskiego. Dzieło te wyszło w Warszawie, nakładem S. Lewentala.

— **Z. G. Kraków.** Proponowanego tłomaczenia przyjąć nie możemy z powodów, które podamy w najbliższym numerze.

— **Stały czytelnik „Przeglądu Poznańskiego“.** Dobrym zamiarom stanęły na drodze bardzo ważne przeszkody.

BIBLIOGRAFIA.

(Książki nadesłane redakcyi).

B. Korda. G r a w y o b r a ź n i. Poezye. Kraków 1897. Nakładem W. L. Anczyca i Sp.

Wincenty Pol. W y b ó r p o e z y i. Petersburg 1897. Nakł. K. Grendyszyńskiego.

Z powodu świąt Bożego Narodzenia wyjdzie następny numer „Przeglądu“ dopiero we wtorek dnia 29-go grudnia.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 28 (Telefon Nr. 334.)